Myśl Polska

DWUTYGODNIK POŚWIĘCONY ŻYCIU I KULTURZE NARODU
POLISH THOUGHT — FORTNIGHTLY REVIEW

Nr 203 (Rok XII, Nr 13) 1 lipca 1952 Cena (Price) 1/6

NAJWAŻNIEJSZA WALKA

Z NAJWIĘKSZĄ uwagą i przejęciem śledzimy przebieg tej najważniejszej walki jaka się toczy w kraju, walki między komunizmem a katolicyzmem. Jeżeli pisze się o tym stosunkowo niewiele, to dlatego, że z emigracji pomóc w tej walce niesposób a zaszkodzić bardzo łatwo.

Przed przeszło dwoma laty, po zawarciu układu między episkopatem polskim a rządem komunistycznym, pisaliśmy na tych łamach, odmiennie od wielu głosów opinii polskiej na emigracji, że „fakt zawarcia układu nie jest wyrazem kapitulacji Kościoła w Polsce ale przeciwnie dowodem jego mocnej pozycji w narodzie". Ubiegłe dwa lata potwierdzają słuszność tego poglądu. Pozycja Kościoła w Polsce, jego zwartość i zdolność obronna nie osłabły w ciągu tych dwóch lat, lecz raczej się wzmocniły.

Przejawem tego zjawiska zewnętrznym były ostatnie uroczystości Bożego Ciała, doroczna manifestacja religijna o najdonioślejszym znaczeniu. Miliony ludzi, które dały w Polsce publiczny wyraz wierności dla religii, świadczą nie tylko o odrzuceniu komunizmu przez najszersze masy narodu ale i o niepozrzuceniu przez nie nadziei wyzwolenia z jarzma bezbożnictwa.

Te wielkie uroczystości w całym kraju poprzedziła o parę tygodni uroczystość w jednej diecezji ale o ogólnonarodowym znaczeniu. Była nią inauguracja kapituły wrocławskiej przez prymasa Wyszyńskiego.

Od paru lat toczy się między Kościołem a rządem komunistycznym walka o ustanowienie hierarchii na ziemiach zachodnich. Kto by opierał się tylko na informacjach propagandy komunistycznej, przypuszczałby, że to komuniści chcą koniecznie mieć polskich biskupów na Dolnym Śląsku, Pomorzu Zachodnim, Lubuszy i Mazurach, a Kościół Katolicki do tego nie dopuszcza w obronie praw duchowieństwa niemieckiego. W rzeczywistości sprawa przedstawia się odwrotnie: komuniści robią wszystko aby uniemożliwić powstanie stałej organizacji kościelnej na tych ziemiach a w szczególności nie dopuścić do ustalenia się tam władzy biskupiej. Gdy na zasadzie specjalnych pełnomocnictw papieskich śp. kardynał Hlond mianował wikariuszów apostolskich, którzy mieli wszelkie prerogatywy biskupów z wyjątkiem tytułu (a przecie mogli oczekiwać wyświęcenia na biskupów „in partibus") i najpoważniejsze dane na zostanie z upływem czasu ordynariuszami, rząd komunistyczny usunął ich siłą. Narzuceni przez rząd tzw. wikariusze kapitulni nie mieli za sobą prawa kanonicznego, gdyż nie było jeszcze w ich diecezjach ustanowionych kapituł, które by ich miały prawo wybrać. Zostali oni uprawnieni w rządzeniu diecezjami „ex post" przez episkopat na zasadzie pełnomocnictw rzymskich. Utworzenie regularnej kapituły wrocławskiej jest pierwszym krokiem do zorganizowania stałej hierarchii kościelnej na zachodzie Polski. Zostało ono dokonane na podstawie szczególnych pełnomocnictw papieskich.

Powołał się na to w swoim kazaniu inauguracyjnym Prymas. Kazanie to, uderzające swoją wiarą, godnością i poczuciem odpowiedzialności za cały naród, podała prasa codzienna. Może warto zwrócić uwagę, że parokrotnie w tym kazaniu Prymas wspominał o obrazie Matki Boskiej, „koło którego przechodzimy". W odbudowanej katedrze wrocławskiej umieszczony został obraz podarowany Janowi Sobieskiemu przez papieża Inocentego po zwycięstwie wiedeńskim, które ocaliło chrześcijaństwo od jarzma niewiernych.

1938 — 1952 — 1966?

W Barcelonie odbył się 35 z kolei a pierwszy po wojnie Światowy Kongres Eucharystyczny. Szczególnym hasłem Kongresu było oddanie czci w Eucharystii Chrystusowi jako Księciu Pokoju. Poszczególne dni poświęcone były modlitwom o pokój w rodzinie, o pokój społeczny i o pokój między narodami. Z pięciu intencji modlitw zaleconych Kongresowi przez Ojca Świętego pierwszą była modlitwa za prześladowanych za wiarę. Podczas Kongresu odbyły się wielka msza pontyfikalna odprawiona przez jednego z kardynałów na intencję prześladowanych i nocne nabożeństwo w obrządku wschodnim, z kazaniem po łacinie biskupa Gawliny.

Pielgrzymka polska, złożona z grup z kilku krajów zachodnio-europejskich, pod przewodnictwem ks. bpa J. Gawliny, liczyła około stu osób, odbywała specjalne nabożeństwa i zebrania, miała do dyspozycji jeden z kościołów barcelońskich. Polacy byli nadzwyczaj serdecznie witani przez Hiszpanów, a ludność Barcelony nie szczędziła im dowodów sympatii i zrozumienia. Barcelona jest miastem, gdzie szczególnie szalał terror komunistyczny w czasie wojny domowej i gdzie żywe są wspomnienia wymordowania 500 księży przez „rojos".

Poprzedni Światowy Kongres Eucharystyczny odbył się w r. 1938 w Budapeszcie. Biskup Gawlina wyraził nadzieję, że Kongres w r. 1966 odbędzie się w Polsce w tysiąclecie przyjęcia przez nią chrześcijaństwa.

ZŁA PRZYSŁUGA

Kongres Eucharystyczny barceloński znalazł swoiste echo w życiu politycznym emigracji. Mianowicie jednym z pielgrzymów polskich był gen. W. Anders. W czasie pobytu w Barcelonie złożył on wizytę gen. Franco a nawet wystąpił podobno obok niego w mundurze polskim na jakiejś uroczystości wojskowej. Dało to p. Z. Zarembie z PPS asumpt na posiedzeniu Rady Politycznej do bardzo ostrego ataku na gen. Franco i na wystąpienie u jego boku gen. Andersa.

Tygodnik „Orzeł Biały" z właściwym sobie poufałym stosunkiem do prawdy streścił wystąpienie p. Zaremby jako atak na Kongres Eucharystyczny i z tego powodu w pełnych patosu i histerii słowach karci „bezwolną bierność prezydium" Rady Politycznej i brak potępienia p. Zaremby przez innych członków Rady, „w której zasiadają również ludzie, uważający się za katolików" (tym aroganckim określeniem kolega polityczny „biskupa" teozofów gen. Tokarzewskiego obejmuje zarówno wiceprezesa Rady, gen. Hallera jak i jednego z najbardziej znanych w międzynarodowym życiu katolickim Polaków — prof. Folkierskiego).

Gdyby p. Zaremba atakował Kongres Eucharystyczny lub udział w nim kogokolwiek z Polaków, na pewno wywołałby ostrą reakcję. Natomiast wizyta u szefa rządu, udzielanie wywiadów prasowych, czy występowanie publiczne w mundurze wojskowym nie są przejawami kultu religijnego lecz aktami politycznymi i krytykowanie ich nie jest, jak to insynuuje „Orzeł", „z punktu widzenia katolickiego obrażające". Może być słuszne lub niesłuszne, ale na pewno nie jest bluźniercze.

Polityk musi być przygotowany na krytykę swoich kroków politycznych i nie może się zasłaniać ani mundurem ani szkaplerzem. Toteż redaktor „Orła Białego", który w ten sposób usiłuje zasłonić gen. Andersa, wyrządza złą przysługę i jemu i wojsku i Kościołowi.

SŁABI NIE MAJĄ RACJI

Dialektyka sowiecka to zdumiewające narzędzie polityki; prawda zmienia się w nieprawdę tak łatwo, że oszołomiony świat ciągle nie może się jeszcze oswoić z myślą, że można tak bezczelnie kłamać.

W czasie ostatnich manewrów floty sowieckiej na Bałtyku zaginął samolot szwedzki typu Dakota. Z portów Szwecji wysłano na poszukiwania okręty marynarki wojennej, statki floty handlowej, rybackie i samoloty ratunkowe. Nieuzbrojony wodnopłatowiec Catalina krążący nad morzem w pobliżu brzegów Estonii, jednak poza sowieckimi wodami terytorialnymi, został napadnięty przez myśliwce rosyjskie i z zimną krwią zestrzelony. Rosjanie nie ogłosili jednak tego faktu, ale czekali, aby świat sam się o tym dowiedział.

Wiadomość rozeszła się, gdyż załoga Cataliny w przeciwieństwie do Dakoty, uratowała się i została zabrana na pokład małego frachtowca niemieckiego. W Szwecji powstało oburzenie, tłumy demonstrowały przed poselstwem ZSRR, rząd wystosował notę protestacyjną do Moskwy. Nastrój był podniecony, tym bardziej że w tym samym czasie toczył się proces przeciw szpiegom sowieckim, kompromitujący mocno dla trzech sowieckich dyplomatów, poprzednio zatrudnionych w poselstwie w Sztokholmie.

Sowiety uprzedziły notę szwedzką o kilka godzin, wysyłając protest przeciw pogwałceniu sowieckich wód terytorialnych przez uzbrojony samolot wojskowy i oskarżyły załogę samolotu o otwarcie ognia do myśliwców rosyjskich.

Wszystko to było zmyślone, gdyż samolot nie miał broni pokładowej. Podstawy do protestu jednak istniały, gdyż inny samolot szwedzki o dwa dni wcześniej poszukujący Dakoty rzeczywiście znajdował się blisko wybrzeży estońskich, teraz uznanych za należące do Sowietów.

Odpowiedź sowiecka przeto uznała za rzeczywistość: nieprawdziwy fakt pogwałcenia wód sowieckich przez Catalinę, oraz zmyśloną okoliczność, że samolot ten strzelał do samolotów ZSRR. Na tych podstawach Sowiety zaprotestowały wobec rządu szwedzkiego przeciwko gwałceniu swego terytorium i odrzuciły protesty Szwecji.

A Szwecja straciła dwa samoloty i załogę jednego z nich. Rodziny opłakują lotników, których ojczyzna jest niestety słabsza od Sowietów. Ponieważ zaś Sowiety są mocniejsze, przeto Szwecja nie może mieć racji. Szwedzi kłamią, gdyż są słabsi. Sowiety mówią prawdę, bo są mocniejsze.

Zdumiewająca dialektyka — dawniej zwana bandytyzmem.

Administracja „Myśli Polskiej" prosi Szanownych Czytelników o wpłacenie zaległych prenumerat celem uniknięcia wstrzymania wysyłki.

CHCIELIBYŚMY SIĘ CIESZYĆ...

Wreszcie przyjemna wiadomość z kraju, podnosząca na duchu, napawająca dumą, że jest tak dobrze...

W jednej z audycji niemieckich komunistyczny propagandzista radiowy powiedział na fali Warszawy:

„Oczekiwanie na pociąg na polskiej stacji jest zajęciem bardzo przyjemnym. Podróżny ma do dyspozycji gazety, tygodniki a nawet biblioteki. Może słuchać także muzyki od klasycznej do tanecznej włącznie. Jeżeli chce, może grać w szachy albo warcaby. Wszystkie te udogodnienia są dostępne w dzień i w nocy. W Krakowie jest nawet kino dworcowe a inne stacje kolejowe mają naśladować ten przykład. Specjalną opieką otacza się matki podróżujące z dziećmi, ministerstwo zdrowia organizuje dla nich żłóbki, opiekę zawodowych pielęgniarek itd.".

Ten wspaniały obraz nie bierze pod uwagę realniejszego życia na dworcach, gdzie normalnie czeka cztery razy więcej pasażerów, niż jest miejsc w pociągu lub w poczekalni. Nie przytacza się tu znanych z prasy krajowej argumentów o przepełnieniu pociągów, o podróżnych jadących na dachach i na stopniach wagonów. Mówi się za to, że na stacji są warcaby, szachy i tygodniki. Pewnie są, ale co z tego — czy korzystają z nich pasażerowie czekający na pociąg podmiejski na stacji Warszawa Śródmieście? Nie, bo panuje wtedy taki tłok, że nie można się wcisnąć na peron, bo oczekujący przygotowują się do walki o miejsca w pociągu...

Na zewnątrz opowiada się wspaniałe bajdy. Rzeczywistość jest przecież inna. Po co kłamać?

UDANA PODRÓŻ Z. STYPUŁKOWSKIEGO DO KALIFORNII

Jedynym mówcą polskim (poza trzema aktualnymi kandydatami na prezydenta Stanów Zjednoczonych Harrimanem, Russellem i Kefauverem) zaproszonym w maju br. do ekskluzywnego klubu „Town Hall" w Los Angeles był Zbigniew Stypułkowski. Podróż jego po Kalifornii i liczne przemówienia zarówno na temat procesu moskiewskiego, jak przede wszystkim bieżących zagadnień i potrzeb Polski, stały się jednym ciągiem propolskich i antykomunistycznych manifestacji.

Szczególnie zainteresowały się osobą wybitnego działacza Stronnictwa

Narodowego organizacje antykomunistyczne: „Friends of Poland", „Institute for Political Freedom" i „Freedom Group of the Spiritual Mobilization". Ta ostatnia wydała obiad na 800 osób, po którym p. Stypułkowski. przemawiał z kazalnicy „First Congressional Church" do blisko dwóch tysięcy zebranych.

Nie mniejsze zainteresowanie okazały sfery filmowe Kalifornii, dla których „człowiek z autentycznego procesu politycznego w Moskwie" był sensacją. Potężna organizacja przemysłu filmowego „Motion Picture Alliance" zaprosiła p. Stypułkowskiego do wygłoszenia odczytu na swym dorocznym zebraniu. W wytwórni zaś „Paramount" podejmowano go obiadem, w którym wziął również udział słynny reżyser Cecil de Mille.

Wśród rozmów politycznych do najpoważniejszych należy zaliczyć konferencje przeprowadzone z kandydatami na prezydenta USA - republikaninem Warrenem, gubernatorem Kalifornii i demokratą Kefauverem, senatorem. Wyliczenie wszystkich imprez z udziałem p. Stypułkowskiego jest trudne ze względu na ilość. Było ich bowiem w ciągu trzytygodniowej wizyty: dziesięć przemówień na zebraniach publicznych, cztery wywiady w telewizji, dwie konferencje prasowe (jedna w sądzie, gdzie toczyła się rozprawa przeciwko 14 czołowym komunistom stanu Kalifornia), szereg przemówień przez radio i wiele rozmów politycznych.

(NBI)

„ABSOLUTNA SAMODZIELNOŚĆ"

Nieczyste sumienie nie daje spać. Nie dość, że w swoim czasie uczestnik berlińskiego kongresu dziennikarzy, p. Bregman poświęcił znaczną część swojej korespondencji polemice z tymi dziennikarzami polskimi, którzy przeciwni byli udziałowi w zjeździe berlińskim, obecnie na łamach tegoż pisma zabrał głos sam p. Wierzbiański, by połowę artykułu traktującego o dziennikarstwie międzynarodowym poświęcić podobnemu tłumaczeniu się wobec „niewielkiej — jak ją nazywa — grupy dziennikarzy polskich", przeciwnych Berlinowi.

„Decyzję co do miejsca Kongresu — pisze — podjęły władze Międzynarodowej Federacji Wolnych Dziennikarzy, w której Polacy posiadają jeden głos na równi np. z Estończykami czy Albańczykami". Czy prezes Federacji jest Estończyk czy Albańczyk i czy Estończyk z Albańczykiem jeździli do Nowego Jorku dyskutować o miejscu kongresu i jego sfinansowaniu?

Nie zbijając żadnego z argumentów krytycznych, przytoczonych przez nas przed miesiącem, przeciwstawia natomiast kongres berliński niedawnej konferencji londyńskiej środkowo i wschodnio-europejskiej Ruchu Europejskiego i stwierdza, że „W Berlinie samodzielność czynnika wschodnio-europejskiego była absolutna". Dowiadujemy się więc, jak niektórzy ludzie pojmują absolutną samodzielność. To mówi bodaj więcej niż wszystko, co w tej sprawie do tej pory napisano.

PIERWSZY ZJAZD SN W STANACH ZJEDNOCZONYCH

W dniach 7 i 8 czerwca odbył się w Chicago w sali Macierzy Polskiej pierwszy Zjazd delegatów kół Stronnictwa Narodowego z terenu Stanów Zjednoczonych.

Zjazd zagaił przewodniczący Komisji Organizacyjnej SN A. Niebieszczański. W skład prezydium weszli: p. Siekanowicz jako przewodniczący, jako asesorzy F. Gawrych, T. Kołodyński, J. Pogorzelski i J. O. Sokołowski oraz F. Proch jako sekretarz. Przemówienia powitalne złożyli imieniem PPS dr S. Zimmer, NiD-u W. Jaroszewski i Polskiego Stronnictwa Ludowego — OJN S. Zientara. Złożyli również życzenia przedstawiciele duchowieństwa, Komitetu Czechosłowackiego, Jugosłowian i Słowaków. Przemawiający imieniem Zjednoczenia Polskiego Rzymsko-Katolickiego red. Z. Stefanowicz nawiązał do czasów Romana Dmowskiego i do bliskiej współpracy w czasie pierwszej wojny światowej Wydziału Narodowego w Ameryce z Komitetem Narodowym w Paryżu. Nadeszło wiele depesz i listów, wśród nich m. i. od władz centralnych SN, prezesa Kongresu Polonii Amerykańskiej K. Rozmarka, gubernatora Rezerw Federalnych M. Szymczaka, prezesa Komitetu Wolnej Europy adm. Millera, amb. Bliss Lane'a.

Główne przemówienie na posiedzeniu inauguracyjnym wygłosił prezes Zarządu Głównego SN z Londynu dr T. Bielecki.

PRZEMÓWIENIE PREZ. BIELECKIEGO

Mówiąc o rozwoju Stronnictwa Narodowego prez. Bielecki powiedział:

Co sprawiło, że Stronnictwo Narodowe nie tylko trwa, istnieje, ale i idzie naprzód?

Nie czas tu na głębszą analizę tego zjawiska. Spróbuję jednak dziś zanotować dwie przyczyny, jakie stanowią podstawę naszej siły.

Pierwsza jest — powiedziałbym — natury ilościowej. W przeciwieństwie do ruchów nacjonalistycznych we Francji i Włoszech (nie myślę o faszyzmie, który przejął co prawda sporo z dorobku myślowego włoskiego nacjonalizmu Corradiniego, ale był zgoła inną formacją polityczną) nigdy nasz obóz nie ograniczał się do cienkiej warstwy inteligencji, ale szedł w masy, obejmował chłopów, robotników, rzemieślników, kupców i inteligentów. Byliśmy jednym z niewielu, może jedynym ruchem narodowym nieklasowym, skupiającym *wszystkie warstwy* narodu. Nasz ruch zresztą wciągnął szerokie masy ludowe w orbitę działania i myślenia państwowego. Dawało nam to mocne oparcie w masach i pozwalało zarówno w wyborach sejmowych (dopóki braliśmy w nich udział) jak i w przeprowadzonych tuż przed wojną wyborach samorządowych zdobywać największą ilość mandatów. Nie odpowiada rzeczywistości twierdzenie, jakoby chłopi w Polsce należeli tylko do Stronnictwa Ludowego, a robotnicy tylko do PPS. I chłopi w olbrzymim odsetku, i robotnicy, należeli obok Stronnictwa Ludowego i PPS do Stronnictwa Narodowego. Inaczej nie moglibyśmy byli mieć milionów głosów przy wyborach. Pod tym względem przypominamy bardziej partie zachodnie, jak np. Demokratyczną i Republikańską w Stanach Zjednoczonych, gdzie farmerzy bądź robotnicy należą i do jednej i do drugiej partii. Nacjonalizmy włoski i francuski były właściwie ruchami klasowo-inteligenckimi.

Ale i jakościowo różniliśmy się od innych tak zwanych nacjonalizmów. Jesteśmy przeciwnikami ślepego naśladownictwa. Dlatego — przy pewnych ogólnych podobieństwach — nigdy nie usiłowaliśmy się upodabniać do obcych ruchów nacjonalistycznych. Dmowski nie lubił zresztą — nieraz mi o tym mówił — nazwy „nacjonalizm". Wszystko co trąciło doktrynerstwem, „izmami", było mu obce. Dał temu jaskrawy wyraz w „Koście-

le, narodzie i państwie". Zamiast „nacjonalizm" używał nazwy „idea narodowa", zamiast „obóz nacjonalistyczny" — „obóz narodowy". Nasz polski „nacjonalizm" jest różny zwłaszcza od niemieckiego. Biło to w oczy każdego, kto porównywał nasz ruch z nacjonalizmem niemieckim. Dlatego nikt tak nie tępił nas jak właśnie Niemcy w czasie ostatniej wojny.

Polska idea narodowa wyprzedziła inne nacjonalizmy i głębiej sformułowała istotę narodu, stosunek jednostki do Boga i narodu. Tłumaczy się to może tym, że polski ruch narodowy formułował swe zasadnicze pojęcia jeszcze w okresie niewoli, na przełomie XIX i XX wieku, kiedy nie mieliśmy własnego państwa i lepiej mogliśmy rozumieć i określić pojęcie narodu.

Nasz ruch narodowy cechuje duży umiar i demokratyczny, szeroki pogląd na sprawy. Nigdy Stronnictwo Narodowe nie zapędziło się w ustrój monopartyjny czy dyktatorski. Polski ruch narodowy wywodzi się z własnej tradycji państwowej, czerpie z zasad wiary rzymskokatolickiej, która się tak cudownie splata z polskim czuciem i myśleniem narodowym. Jest więc czymś swoistym, odrębnym, nie do naśladowania, czymś samorodnym. Nasza idea narodowa nie ma nic wspólnego z nacjonalizmem prymitywnym. Polscy narodowcy bardziej miłują swój naród, aniżeli nienawidzą inne narody.

Z tych właśnie powodów polski obóz narodowy istnieje i rozwija się, kiedy tyle innych, potężnych chwilami, a mechanicznie skleconych ruchów nacjonalistycznych rozpadło się i znikło bez śladu.

A teraz pytanie: czy Stronnictwo Narodowe ma przyszłość, czy nie żyjemy w epoce przeżywania się państw narodowych, czy nie jesteśmy anachronizmem w świecie współczesnym?

Pytania takie padają w dzisiejszym chaosie pojęć, kiedy świat nie znalazł jeszcze nowej drogi. Pisze się nawet o zmierzchu nacjonalizmów. Oczywiście pewne formy ciasnego nacjonalizmu znikły, i dobrze, że znikły, a jeżeli usiłują się odrodzić, muszą przybierać maskę ochronną i wypierać się wielu zawołań, które przed wojną były artykułami ich wiary politycznej.

Polska idea narodowa ne potrzebuje zmieniać zasad i celów. Wytrzymały one nad podziw dobrze próbę czasu i w ogniu doświadczeń nabrały jeszcze większej siły.

Zmieniamy formy walki zależnie od warunków, w jakich musimy działać. Wieczne są — rzekłbym — nasze zasady i nasze cele, zmienne środki i formy działania.

Do walki z naszym rodzimym totalizmem powołaliśmy w r. 1926 Obóz Wielkiej Polski. Dziś ta forma organizacji już jest niepotrzebna, choć wiele jeszcze z dorobku organizacyjno-politycznego OWP przyda się obecnie, o czym może zapominamy, do walki z komunizmem, ale w zasadzie formy działania z lat 1926—1935 zarzuciliśmy.

Tuż po wojnie mówiono, że nie mamy przyszłości, gdyż świat idzie na lewo. Ten frazes trafiał czasami do mniej samodzielnie myślących głów. Dodam zresztą, że nie zaliczam Stronnictwa Narodowego do ugrupowań prawicowych. Nie jesteśmy w dziedzinie społeczno-politycznej ani konserwatywni, ani zacofani. Slogan „świat idzie na lewo" trwał krótko. I w Europie i w Anglii przyszły do władzy tak zwane ugrupowania prawicowe. Mamy więc taniec: raz na lewo, raz na prawo. Nie widzimy jakiejś fatalistycznej tendencji do zwrotu tylko na lewo, bądź tylko na prawo. Jak widzimy i z tej strony nie grozi nam żadna katastrofa. Wszystkim, którzy chcieli nas tak uprzejmie pogrzebać odpowiadamy, że nieraz jeszcze będą mieli z nami do czynienia, że przeskoczyć nas się nie da i że lepiej z nami współdziałać, aniżeli walczyć.

Jeżeli zaś idzie o prądy ideowe, które nurtują dziś w świecie, to stwierdzić trzeba, iż żyjemy pod znakiem rozbudzonych nacjonalizmów, i to nie tylko w Europie, ale i w Azji i w Afryce. Wola niezależnego urządzenia życia przenika jak płomień coraz to nowe kraje. System kolonialny wali się i nie ma mowy, ażeby można było w dawnej postaci go utrzymać. Narody budzą się do samoistnego życia. Prawda, są to nierzadko nacjonalizmy prymitywne i nieokiełznane, dalekie od naszego, wiekami urobionego i pogłębionego, narodowego na świat poglądu. Ale jest faktem niezaprzeczonym, że świat idzie ku podkreślaniu, a nie ku zacieraniu odrębności narodowych. Byłoby lepiej, gdyby się z tym zjawiskiem więcej niż dotąd liczył Zachód. Dotychczas na uczuciach narodowych ludów azjatyckich gra — w swoim oczywiście interesie — Rosja Sowiecka. Trzeba stwierdzić, że i w Ameryce zauważono to zjawisko i zaczęto się starać rozumieć je, a nie tylko mechanicznie zwalczać.

Weźmy zresztą Stany Zjednoczone. Czy nie tworzy się tu, na naszych oczach naród amerykański z rozmaitych, jakże różnych składników? Czy nie widzimy, jak pogłębia się w Stanach Zjednoczonych uzasadniona zresztą duma narodowa Amerykanów? W polityce zaś amerykańskiej używa się dziś często przy ocenie pociągnięć politycznych kryterium „interesu narodowego".

Nie. Stanowczo nie zanosi się na zmierzch idei narodowej. Przeciwnie. Mamy dziś do czynienia z renesansem uczuć patriotycznych i narodowego myślenia. Nie jest to prąd jedyny, ale chyba najmocniejszy.

Obok zróżnicowania narodów istnieje też tendencja do ich całkowania. Stąd nowoczesny ruch narodowy nie ma cech izolowania się od innych. Przeciwnie dąży — wedle swoich zasad — do współdziałania z sąsiadami, do tworzenia większych zespołów, ściślejszych zgrupowań międzypaństwowych. Mogą to być zgrupowania ściślejsze regionalne, bądź luźniejsze kontynentalne. Chodzi o to, żeby współpracować w taki sposób, aby nie obrażać wiekami urobionych odrębności narodowych. Mające powstać związki państw winny zachować suwerenność narodów w skład ich wchodzących i łączyć to tylko, co jest konieczne, do wspólnej obrony i poprawy bytu składowych części związku. Sądzę, że powinniśmy się wysilić w kierunku wynalezienia nowych form współdziałania między państwami. Nie należy natomiast przyjmować, że jedynym lekarstwem na wszystko są formy federacyjne, które zresztą torują sobie bardzo powoli drogę w praktycznym działaniu i nie wiadomo, czy w ogóle dadzą się zrealizować kiedykolwiek.

Twierdzę, że wchodzimy w okres syntezy dwu prądów: jednego zmierzającego w kierunku wyodrębniania się narodów i rozkwitu idei narodowej, drugiego — w kierunku współdziałania i współpracy między odrębnymi narodami w większych zespołach. Nowe formy współżycia międzynarodowego nie powinny naruszać indywidualności narodowych.

W części wewnętrznej, sprawozdanie z prac Komisji Organizacyjnej przedstawił na plenum J. Niebieszczański, a referaty wygłosili Z. Stypułkowski, J. Pańciewicz i J. Ptakowski. Uchwalono obszerną rezolucję polityczną oraz szereg wniosków i wskazań natury organizacyjnej. Właściwe prace Zjazdu odbywały się w trzech komisjach: politycznej, społecznej i organizacyjnej, pod przewodnictwem J. Przyłuskiego, E. Kapsy i J. Miski. Zjazd wybrał Wydział Wykonawczy w Stanach Zjednoczonych w składzie: prezes — F. Szwajdler, sekretarz — S. Kotowicz, członkowie —

A. Niebieszczański, J. Pańciewicz, J. Ptakowski i A. Sergot. Powołano również Radę SN złożoną z 30 osób. Zjazd wykazał sprawność organizacji Stronnictwa Narodowego w Stanach Zjednoczonych. W przygotowanie Zjazdu włożyło dużo starań koło SN w Chicago, jak również Komisja Organizacyjna w Nowym Jorku. Na Zjazd przybyło wielu delegatów z nieraz bardzo odległych stanów.

(NBI)

WOJCIECH WASIUTYŃSKI

LISTY O LUDZIACH 20)

BYTOWCY

Bibliopolis, czerwiec 52

Drogi Czytelniku,

Kiedy widziałeś (jeśli widziałeś) w paryskim Kwartale Łacińskim młodych intelektualistów — nieczesane dziewczyny i niegolonych chłopców, którzy w dzień dyskutują po kawiarniach a w nocy tańczą boso po piwnicach albo śpią na ławkach, a przy tym wszystkim nazywają siebie egzystencjalistami, to oczywiście nie dało Ci to żadnego pojęcia o treści filozofii egzystencjalistycznej. Dało Ci natomiast świadomość, że egzystencjalizm jest hasłem modnym, że ma posmak buntu intelektualnego i że trafia do pewnego typu młodzieży.

W czasie ostatniej wojny po tymże Kwartale Łacińskim chodzili młodzi ludzie w bardzo długich marynarkach i z włosami na karku à la Clark Gable z nowego wówczas filmu „Gone with the Wind". Nazywali się po prostu Zazou. Noszenie się w ten sposób było jednak czymś więcej niż czystą bufonadą. Tak ubranych młodzieńców Niemcy najchętniej porywali na roboty przymusowe, uważając ich za element antyspołeczny. Wzorowanie się na filmie amerykańskim i lekceważenie okazywane jawnie dla wielkiego wysiłku wprowadzenia Nowego Ładu europejskiego i dla powagi strat wywołanych plutokratycznymi bombardowaniami i mrozem azjatyckim było przejawem buntu. Podobnie dziś, nie nad Sekwaną i Rodanem ale nad Wisłą i Odrą, wyrazem niebezpiecznego buntu jest noszenie amerykańskich krawatów, kraciastych koszul i żółtych skarpetek. „Bikiniarstwo" jest bardziej niebezpieczne niż było „Zazou", nie mówiąc już o gratisowej przyjemności „egzystencjalizmu", bo prowadzić może do „oubliettes" Bezpieki.

Nie mam zamiaru wywoływać w Twoim umyśle wrażenia, że tzw. egzystencjaliści z Lewego Brzegu są rewolucjonistami politycznymi. Chciałem tylko zwrócić przez to uwagę na element buntu zawarty w haśle egzystencjalizmu. Może bardziej właściwe, bliższe byłoby inne porównanie, dalej sięgające w przeszłość. Porównanie do nieczesanych i niegolonych studentów rosyjskich z „fin de siècle", którzy nazywali siebie nihilistami. Tak, wydaje mi się w tej chwili, że naszych pseudoegzystencjalistów paryskich należy umieścić logicznie pomiędzy „zazous" a nihilistami. Są zanadto Europejczykami aby nihilizm brać całkiem poważnie, ale znajdują w egzystencjalizmie hasło usprawiedliwiające wyładowanie humorów nihilistycznych. Manifestują swoją niechęć do wszystkich kierunków walczących o ducha Francji: do katolicyzmu i do komunizmu, do tradycji jakobińskiej i do tradycji Najstarszej Córy Kościoła.

Było dla mnie pewnego rodzaju zagadką, co takiego znajdują oni w filozofii dosyć specjalnej i bynajmniej nie jednolitej, jaką jest filozofia bytu czyli egzystencjalizm. Nie mogłem na to sobie odpowiedzieć, dopóki nie przeprowadziłem rozróżnienia między egzystencjalizmem jako filozofią a egzystencjalizmem jako światopoglądem.

Egzystencjalizm jako filozofia to szkoła myśli bynajmniej nie nowa, pochodzenia niemieckiego, której tezą wyjściową jest, że egzystencja poprzedza esencję, czyli byt jest ważniejszy od istoty. Jeden z takich właśnie problemów filozoficznych, na których dyskutowaniu tylu ludzi od tysiącleci straciło życie; tych dyskusji, jeśli można taką przenośnię zaryzykować, Bóg słucha z uśmiechem. Z postawy egzystencjalistycznej wypływają pewne konsekwencje ogólne — takie jak podkreślanie roli woli ludzkiej, odpowiedzialności człowieka za jego życie i krytyczny stosunek do pewnych pojęć ogólnych jak prawo naturalne. We Francji istnieją współcześnie dwie zupełnie sprzeczne interpretacje filozofii egzystencjalistycznej: chrześcijańska i ateistyczna. Najwybitniejszym przedstawicielem pierwszej z nich jest niemłody już Gabriel Marcel. Świeżo wyszło angielskie tłumaczenie jego podstawowej książki, zbioru wykładów i szkiców pod tytułem „Homo Viator" — człowiek wędrowiec, z niemniej znamiennym podtytułem „Wprowadzenie do metafizyki nadziei".

Marcel uzasadnia, że człowiek na tej ziemi jest tylko wędrowcem, że życie jest okresem próby i przygotowania, okresem formowania własnego bytu nieśmiertelnego. Egzystencja człowieka staje się zrozumiała i ważna dopiero w świetle Łaski. Poglądy Marcela są raczej augustyniańskie niż tomistyczne, odległe od optymizmu i tradycjonalizmu neoscholastyki ale bynajmniej nie buntownicze a już w żadnym razie nie nihilistyczne. Przeciwnie, wykłady i szkice składające się na „Homo Viator" powstały w czasie wojny, w większej części napisane w tzw. Zone Libre za rządów Vichy, i noszą piętno nastrojów tej szczególnej chwili.

Poza Francją, a zwłaszcza w krajach anglosaskich, pozostało po Vichy tylko wspomnienie kolaboracji i kapitulanctwa. W Czwartej Republice dobre obyczaje nakazują mówić o latach Vichy z pogardą. W rzeczywistości w owych latach wstydu i klęski, a nie „gloire" i „victoire", zwłaszcza w okresie pierwszym, przed lądowaniem Amerykanów w Afryce, działy się w umysłowości francuskiej rzeczy interesujące.

Jeżeli Polacy do końca nie chcieli uznać klęski wrześniowej za przegranie wojny i z tej postawy wywodzi się upór wojenny ale i złudzenia polityczne i rozrzutne szafowanie krwią polską w następnych latach, to Francuzi popełnili odwrotny błąd: zbyt szybko uznali klęskę i z tej klęski starali się wyciągnąć naukę. Piszę Francuzi, bo był to nastrój ogromnej większości narodu. Nam jest te rzeczy nie łatwo zrozumieć, ponieważ tradycja emigracyjno-legionowa jest u nas odwieczna a pomysły np. zwoływania sejmu na wygnaniu pojawiają się od osiemnastego wieku. Tymczasem we Francji emigracja ma złą tradycję. Z całym uznaniem przyjęło społeczeństwo francuskie mowę Lavala z r. 1941, kiedy pod adresem de Gaulle'a przypomniał co powiedziano emigracji porewolucyjnej francuskiej z końca XVIII wieku: „Nie unosi się ojczyzny na obcasach". Otóż rezultatem uznania klęski była krytyka wszystkiego, co do niej prowadziło. Zaczęła się rewizja obyczajów narodowych i tradycyjnych poglądów, rewizja filozofii narodowej

i historii. Sięgano krytyką aż poza czasy Wielkiej Rewolucji a szczególnie atakowane było wygodnictwo życiowe i styl burżuazyjny. Z tej atmosfery wyszedł zdrowy reakcjonizm filozofa-samouka Gustawa Thibon i ciekawa próba wychowawcza — „Ecole des Cadres" de Segonzaca. Z tej atmosfery wyszły także wykłady Marcela.

Jest jednym z dziwacznych paradoksów historii, że to przebudzenie się sumienia narodowego i poczucia konieczności odbudowy od podstaw zostało kompletnie zmarnowane przez zwycięstwo. Zwycięstwo nie było wypracowane, było wygrane koniunkturalnie. Większość narodu, która pogodziła się z klęską, a nie miała jeszcze czasu przejąć się rewizjonizmem, uznała, że wszystko jest jak najlepiej, skoro Francja jest potrzebna światu i świat musi walczyć o jej wolność. Skoro na życiu typu Trzeciej Republiki nie spoczywa hańba klęski, to można je nadal prowadzić. Dzisiejszy rozkład Francji jest w dużej mierze wynikiem tego, że rewizjonizm wystrzelił w powietrze, że się skompromitował swoim związkiem z popularną w r. 1940 a niepopularną po r. 1945 kapitulacją. Jest to tak, jakby człowiek, który przez lekkomyślność doprowadził się do ruiny i powziął postanowienie zmiany trybu życia, wygrał nagle na loterii i uznał, że wobec tego wszystko jest w porządku. Los dla nas był mniej łaskawy niż dla Francuzów ale za to nie mamy możliwości powrotu do błędów Drugiej Rzeczypospolitej.

Jakże daleko odbiegłem od moich egzystencjalistów! Wybacz mi dygresję i łaskawie czytaj dalej, a zobaczysz, że to się wszystko jednak w pewien sposób łączy. Mianowicie kiedy chrześcijański egzystencjalista Gabriel Marcel wyciągał naukę z klęski w południowej Francji i sięgał do podstaw w poszukiwaniu nadziei (jego pierwszy wykład ma za punkt wyjścia zagadnienie więzienia, niewoli i wygnania), w północnej Francji o pokolenie niemal młodszy Sartre, porzuciwszy zawód nauczyciela gimnazjalnego, związał się z ruchem oporu. Pogarda dla własnego otoczenia, ryzyko walki, podziw dla bojowców komunistycznych, atmosfera zupełnego sceptycyzmu, w jakiej pławiło się młode pokolenie francuskie w okresie międzywojennym, ukształtowały Sartre'a. Jego interpretacja egzystencjalizmu nie przypomina interpretacji Marcela.

Sartre jest filozofem i to filozofem trudnym. Wzorem wielu poprzedników stworzył własny zawiły język pojęć, którego najbardziej znanym przykładem jest formuła: „Le néant néantise" (nicość nicestwi). Przy tym nicestwienie (nie unicestwianie) ma znaczenie pozytywne a nie...

Przepraszam, że skreśliłem dalszy ciąg zdania, ale nie będą Cię męczył nieudolną próbą wyłożenia sartrowskiej filozofii. Napisałem wyżej o rozróżnieniu między egzystencjalizmem jako filozofią a jako światopoglądem. Otóż uważam Sartre'a za twórcę światopoglądu egzystencjalistycznego jako przeciwstawienia i chrześcijaństwa i marksizmu. Chcę mówić o światopoglądzie Sartre'a a nie o jego metodzie filozoficznej.

Sartre powiada: Miejmy odwagę spojrzeć prawdzie w oczy — Bóg nie istnieje, świat nie ma celu, życie nie ma sensu. Człowiek sam nadaje swemu życiu sens. Jest on absolutnie wolny, nie istnieje żadna natura ludzka, nie ma żadnych determinujących warunków społecznych. Nikt się nie rodzi tchórzem ani bohaterem, głupcem ani mędrcem, każdy robi z siebie tchórza lub bohatera, mędrca lub głupca i sam jest za to wyłącznie odpowiedzialny. Nie ma żadnych obiektywnych norm moralnych, nie ma dobra i zła jako takiego. Nihilizm? Nie, powiada Sartre, i przeprowadza obronę w stylu kantiańskim, dla mnie zupełnie nieprzekonywającą. Człowiek, każdym swoim czynem, tłumaczy on, angażuje wszystkich innych ludzi, stwarza uniwersalny wzór postępku, wyraża czynnie przekonanie, że wszyscy w tym wypadku powinni postąpić tak samo, a więc istnieją podstawy do współżycia etycznego. Najsilniej u Sartre'a dźwięczy bunt przeciw determinizmowi. Odrzuca on nie tylko determinizm materialistyczny, na jakim opierają się marksiści, nie tylko naukowy determinizm dziewiętnastego wieku ale nawet to, co za zdeterminowane przez Stwórcę uważa chrześcijaństwo. Odrzuca nie tylko pojęcie celu życia ludzkiego ale i pojęcie natury ludzkiej, prawa naturalnego.

Piszę „Marcel" i „Sartre", ale tak pisać właściwie nie powinienem. Bo jeżeli Marcel jest tylko sobą, filozofem, myślicielem, to Sartre jest wodzem. Wodzem nie tyle dla młodych filozofów, ile dla młodych pisarzy, dramaturgów, poetów. Są to ludzie tego samego pokolenia, dojrzałego między wojnami. Sartre jest z wybitnych bodaj najstarszy (urodzony w 1905 r.), najmłodszy zaś ze sławnych będzie chyba pisarz Camus (autor „Zarazy"), o dziesięć lat od Sartre'a młodszy. Ze sceny i z kart powieści fascynują oni publiczność europejską i amerykańską („L'existentialisme c'est l'humanisme" Sartre'a doczekał się już paru wydań w Ameryce). Jest to zrozumiałe. Jakkolwiek bowiem nie trudno polemizować przekonywająco z tezami filozoficznymi egzystencjalistów ateistycznych szkoły Sartre'a, ich nihilistyczny światopogląd leży w linii rozwoju (co bynajmniej nie znaczy postępu) myśli współczesnej.

Jeżeli się odrzuca pojęcie Stwórcy a więc i pojęcie celu świata, to można zająć dwojaką postawę. Pierwszą z nich zajmują wszyscy ateistyczni ewolucjoniści od staroświeckich liberałów do bolszewików. Wygląda ona mniej więcej tak: świat nie ma celu, rozwój form życia jest dziełem przypadku, ale skoro ten rozwój doprowadził do formy tak wysokiej jak człowiek, to człowiek może nadać cel światu a przynajmniej życiu na ziemi przez pokierowanie dalszym ciągiem ewolucji. Boga nie ma, ale człowiek może być bogiem — taki jest sens tej postawy, znanej zresztą wszystkim uważniejszym czytelnikom Pisma Świętego. Pokierowanie ewolucją znaczy wytworzenie doskonałego typu człowieka i doskonałego społeczeństwa. Te cele nie tylko wiążą się z sobą ale warunkują wzajem.

Gdyby się Marx nie urodził, nie byłoby marksizmu; gdyby nie było Lenina, nie byłoby bolszewizmu; ale jakaś próba Sowietów, to znaczy państwa urzeczywistniającego metodą przymusu nowe społeczeństwo i hodującego nowego człowieka na zasadach nauki materialistycznej powstałaby w naszej epoce tak czy inaczej. Jest ona bowiem logiczną konsekwencją ateistycznego ewolucjonizmu, panującego w głowach poprzedniego pokolenia.

Wszystko dobrze dopóki ludzie mogą wierzyć, że nowe społeczeństwo zapewni człowiekowi szczęście, bo przecież motywem działalności człowieka jest poszukiwanie szczęścia. Chrześcijaństwo powiada, że to szczęście jest w przyszłym życiu. Komunizm powiada, że na ziemi w przyszłym społeczeństwie, dodając, że społeczeństwo to jest nieuniknione, że musi powstać w wyniku praw rozwoju. Ale jeśli ludzie tracą wiarę w to, że prawa rozwoju muszą prowadzić do społeczeństwa szczęśliwego, jeżeli widzą, że społeczeństwa tworzone w myśl założeń ideologicznych powiększają nieszczęście człowieka, a przy tym zaprzeczają coraz bardziej założeniom, dla których miały być tworzone, i przewidywaniom, na których ich tworzenie się opierało? Jaką postawę ci ludzie mają przyjąć? Nie ma Boga, nie ma celu światu wyznaczonego, ale nie ma i namiastki Boga jaką miała być natura. Człowiek inteligentny dwudzie-

(Dalszy ciąg na str. 8)

WACŁAW IWANIUK

Z WIERSZY WSPÓŁCZESNYCH

Wiersz o mojej miłości

Rękę uniosłem do miłości mojej,
i chciałem słowa łączyć z krajobrazem
lubelskich wiosen, by miłość rozdwoić,
jak dwie, splecione dłonie razem.

O, płyńcie, płyńcie serdeczne anioły!
Na jednej dłoni arka złota stoi,
nad arką księżyc — noc jest dookoła —
i cisza, której wiatr się boi.

W tym krajobrazie klęczy zasmucona
postać — i bardzo ma bolesne usta.
Widać, że cierpi. W jej sztywnych ramionach,
modlitwa — ale już pusta.

Zabraną — kto jej odda miłość?
Już na dwu szalach anioł nie odgadnie,
jaki los kryje się w linii zawiłej,
i w twarzy — co płacze bezradnie.

O, płyńcie, płyńcie cierpliwe wieczory,
wam ciężkich nocy gorycz struny pomieszała,
dlatego każdy dźwięk, to krzyk pokory,
w dniach, które nam jeszcze zostały.

A wargom naszym i dłoniom zmęczonym,
dajmy odpocząć — z wiarą lub bez wiary —
ukryjmy pamięć, jak cenne korony,
na czasy Wielkiej Ofiary.

Wiersz o żalu

Z żalów ja pieśń gotycką wzniosę,
i jak katedry wieże ostre,
wywołam z pustej ziemi kłosy,
i kwiatom polnym każę rosnąć.
A wszystko będzie pozłacane,
farbami, które płaczą rosą.
Nie z wielkich słów, lecz z rąbka piany
żalu — ja pieśń gotycką wzniosę.

Nie będzie to zwierciadło wojen,
których otwarte broczą rany.
I tak się boję, tak się boję,
pisać o twarzach ukochanych.
Wywołam lepiej cień, niech żyje,
opięty nocą, jak powojem.
Jeśli mam skryć się, to się skryję
w żal, który jest zwierciadłem moim.

Niejeden z nas ma znój na czole,
i wargom każe milczeć o tym,
bo cisza większym jest symbolem
— niedocenioną, rzymską cnotą.
W goryczy, nawet ptaki kwilą,
skowronki płaczą ponad polem.
A ludzie, gdy są nieszczęśliwi
milczą, zamknięci w krąg niewoli.

Niebo — to niebo jeszcze nasze,
i nim powietrze w koło bije.
A tak mnie straszą, tak mnie straszą,
mówiąc, że nie wiem po co żyję!
Odejdę między obce wzgórza,
milczeniem trawy mnie opaszą.
I tylko gwiazda się wynurzy
z nieba — bo niebo jeszcze nasze.

(Dokończenie ze str. 6)

stego wieku nie może nie dostrzec bluffu jakim jest marksistowska eschatologia, mit społeczeństwa komunistycznego, bezklasowego, bezpaństwowego, bez przestępstw i omyłek, bez przymusu i namiętności ludzkich. Jak nie ma Boga-stwórcy — myślą oni — tak nie ma i boga-ewolucji; jak nie ma Królestwa Bożego poza tym światem, tak nie ma i społeczeństwa doskonałego na tym świecie. I tu rodzi się postawa druga, światopogląd egzystencjalistyczny.

Między materialistami poprzedniego pokolenia a egzystencjalistami obecnego leży przepaść psychiczna doświadczenia, leży państwo Hitlera i państwo Lenina-Stalina. Próbować dziś szukać namiastki naukowej Królestwa Bożego na ziemi, wyruszać w pochód ku nowemu społeczeństwu doskonałemu, to zadanie na które nie widać amatorów. Uznać zaś, że do takiego społeczeństwa droga już jest otwarta, że drogą tą jest bolszewizm, to przedsięwzięcie dla samodzielnego uczciwego myśliciela europejskiego naszych czasów niewykonalne.

Francuzi są narodem odznaczającym się odwagą intelektualną. Egzystencjaliści francuscy są intelektualnie odważni i logiczni. Nie wierzymy w Boga ale i w żadne namiastki Boga, mówią. Nie ma dla człowieka szczęścia ani w przyszłym życiu ani w przyszłym społeczeństwie. Świat nie ma celu ale i człowiek nadać mu go nie może. Taka jest prawda, a prawdę głosić jest naszym obowiązkiem bez względu na konsekwencje. Nie masz nic oprócz tego jedynego swego życia, jesteś tym jednym życiem: zrób z niego, to znaczy z siebie, co uważasz za najlepsze. Oto jest logiczny wynik europejskiego ateizmu, indywidualizmu, racjonalizmu i ... rozczarowania.

Jest w tym pewna doza kabotyństwa, mniejsza u czołowych myślicieli, tym większa im niżej w skali intelektualnej. Patrzcie jaki jestem tragiczny, jaki wolny, jaki odważny! A jest także i spora porcja wygodnictwa. To, co ludziom najbardziej utrudnia pogodzenie się z istnieniem Boga jest nie natury intelektualnej ale woluntarystycznej. Odpowiedzialność wobec siebie samego, odpowiedzialność wobec przyszłych pokoleń jest przyjąć nie trudno. Dużo trudniej przyjąć odpowiedzialność wobec Wszechwiedzącego, bo z tym łączy się sieć moralnych nakazów i zakazów, oplatająca całe życie i nie dająca się wymknąć nawet na chwilę. Nie teologia jest najczęściej odstręczająca ale etyka. Ateizm zaczyna się zazwyczaj nie od rozumowania ale od buntu woli przeciw nieprzyjemnym wyrzeczeniom. Dla studentów z Kwartału Łacińskiego egzystencjalizm jest uzasadnieniem niegolenia się i niepłacenia długów; dla prawdziwych filozofów uzasadnieniem do niemodlenia się i nierobienia rachunku sumienia.

Nawet bez uzasadnienia egzystencjalistycznego Francuzi nie chcą pracować, nie chcą płacić podatków i nie chcą bronić ojczyzny. Ale też we Francji egzystencjalizm znajduje się w atmosferze jak zawiesina sadzy w powietrzu londyńskim. Hasła filozoficzne „anxiété" (niepokoju) i „engagement" (konieczności wyboru), głoszone przez egzystencjalistów, nieco zniekształconym ale stokrotnym echem odbijają się we współczesnym społeczeństwie francuskim. Ponieważ głos Gabriela Marcela stłumiły surmy zwycięstwa, głos Sartre'a huczy dziś od Paryża po Marsylię.

A szczeniak zamiast się umyć i pracować, siedzi brudny w kawiarni i powiada, że świat nie ma sensu.

Wartość idei można poznać czasem po jej karykaturze.

POUCZAJĄCA SPRAWA SYNGMANA RHEE

SPRAWA wewnętrznych stosunków w republice południowo-koreańskiej stała się ostatnio zagadnieniem międzynarodowym i godna jest rzeczywiście zainteresowania również i polskiego czytelnika. Jest ona jednocześnie prosta i skomplikowana, a najciekawsza w niej jest postawa Stanów Zjednoczonych i Wielkiej Brytanii w stosunku do prezydenta południowej Korei, Syngmana Rhee (w polskim brzmieniu Synmana Ri) lub jak chce rosyjska wersja jego nazwiska Li-Syn-Mana.

Syngman Rhee jest prezydentem państwa. Zbliżający się termin nowych wyborów prezydenckich (około 20 lipca br.) postawił go wobec perspektywy odejścia od władzy — 2/3 parlamentu koreańskiego jest przeciw niemu, to jest dokładnie tyle głosów, ile jest potrzebnych według konstytucji do wyboru na prezydenta. Od czasu ostatnich wyborów Syngman Rhee potrafił sobie stworzyć dość silną partię, opierającą się głównie o wojsko, oraz o quasi-totalitarne stowarzyszenie młodzieży. Mając w ręku te elementy, zaproponował parlamentowi zmianę konstytucji, polegającą na wyborze prezydenta przez plebiscyt powszechny a nie przez reprezentację narodową. Parlament obradował nad tą sprawą od lutego do maja i propozycję odrzucił.

W tej sytuacji Syngman Rhee postanowił sterroryzować przeciwników. Przypadek mu dopomógł; w Pusan zdarzyła się awantura pomiędzy pewnym posłem opozycyjnym a kapitanem południowo-koreańskim i w wyniku strzelaniny oficer został zabity. Żądanie zniesienia nietykalności poselskiej i postawienia zabójcy przed sądem spotkało się z oporem w parlamencie. Korzystając z tego, pod pozorem, że w okolicach Pusan grasują partyzanci komunistyczni, prezydent zwolnił niechętnego mu ministra spraw wewnętrznych, zarządził ogłoszenie stanu wojennego i na tej podstawie nakazał aresztowanie 15 posłów do parlamentu, zarzucając im zdradę stanu.

Te wiadomości należy uzupełnić dwoma elementami: opisem spraw wewnętrzno-koreańskich i sylwetką Syngmana Rhee. Pierwsza kwestia należy do najbardziej zawiłych, gdyż wieki zacofania i okupacje chińska i japońska sprawiły, że w Korei dopiero zaczynają rozwijać się ruchy polityczne, ciągle jeszcze opierające się bardziej na elemencie personalnym niż programowym. Do pierwszych wyborów parlamentarnych stawało niezliczone mnóstwo organizacji partyjnych, a prawdziwe stronnictwa zaczęły się formować dopiero w parlamencie. Z tych, stronnictwo prezydenta posiada znaczną ilość posłów, którzy podobno współpracowali z komunistami podczas pierwszej okupacji Seulu i uzyskali przebaczenie prezydenta.

Stronnictwo prezydenta stosuje ostatnio terror fizyczny — nawet dyplomaci zagraniczni musieli uciekać przez okna z wiecu opozycji, rozpędzonego przez bojówkę organizacji młodzieży prorządowej.

Sam Syngman Rhee, ponad 70-letni człowiek, jest przywódcą akcji niepodległościowej, legendarnym bohaterem walki przeciw Japonii, wykształconym na trzech uniwersytetach amerykańskich i znanym jako pierwszy prezydent Korei na wygnaniu przez 25 lat.

Cała sprawa pozornie odległa i niezrozumiała dla niewtajemniczonych stała się przedmiotem światowej dyskusji na tle wojny. Powstało bowiem pytanie, jak pogodzić hasło wojny przeciw tyranii bolszewickiej z oczywistą tyranią Syngmana Rhee. Wśród narodów mniejszych lub obecnie słabszych (Japończycy) powstało dodatkowe pytanie: jak Amerykanie reagują na wewnętrzne powikłania „własnych satelitów" czy mniejszych protegowanych i jak daleko posuną się w interwencji w stosunku do niemiłych dla nich objawów.

A objawy sprawy wewnętrznego konfliktu w południowej Korei komentowane są zdecydowanie nieprzychylnie przez opinie Stanów Zjednoczonych i Wielkiej Brytanii.

Sekretarz generalny Narodów Zjednoczonych p. Lie oświadczył natychmiast po aresztowaniu parlamentarzystów: „Ścisłe przestrzeganie przepisów konstytucyjnych i zasad demokratycznych jest najbardziej wskazane w kraju, który musi utrzymywać i rozwijać swe wszystkie zasoby aby pomóc narodom zjednoczonym w odparciu najazdu i aby dokonać zadania odbudowy ekonomicznej".

Komentarz londyńskiego „Observera" brzmiał: Syngman Rhee „jest nieobliczalnym źródłem niebezpieczeństwa i słabości dla sprawy Narodów Zjednoczonych".

Komentarz prezydenta Stanów Zjednoczonych Trumana był lakoniczny i mocny. „Jestem zdumiony i zgorszony" — powiedział.

Minister spraw zagranicznych Australii, Casey oświadczył w parlamencie, że „wysłał osobistą depeszę do prezydenta Rhee wyrażając nieprzyjemne wrażenie rządu australijskiego w związku z ostatnimi wydarzeniami politycznymi w południowej Korei" oraz dodał, że „trwają wysiłki mające na celu przekonanie dra Rhee aby działał zgodnie z konstytucją".

Informacja dyplomatycznego korespondenta „Manchester Guardian" w związku z misją ministra Selwyn Lloyda w Korei mówiła o „nadzwyczajnym zachowaniu się prezydenta Syngmana Rhee" oraz podkreślała na podstawie informacji z Foreign Office, że „rząd brytyjski jest bardzo przejęty tym zagadnieniem".

Przedstawiciel Wielkiej Brytanii w Pusan, Adams zwrócił się do Syngmana Rhee, „przekazując mu opinię rządu brytyjskiego wzywającą go do działania w sposób konstytucyjny w obecnym kryzysie politycznym".

Podobne wystąpienia nastąpiły ze strony Stanów Zjednoczonych.

Motywy postępowania mocarstw zachodnich jasno przezierają z oświadczenia brytyjskiego ministra spraw zagranicznych Edena w Izbie Gmin. Mówił on: „Przedstawiciel brytyjski w Korei dostał instrukcję i zgodnie z nią ma wskazywać, iż każda groźba (obojętne od kogo pochodząca) przeciw demokratycznemu charakterowi republiki koreańskiej byłaby zaprzeczeniem zasad, w obronie których Narody Zjednoczone i ich wojska prowadzą wojnę obronną w Korei".

Taka postawa nie powinna dziwić nikogo, kto uważnie przyglądał się stosunkowi Amerykanów i Brytyjczyków do rządów gen. Perona w Argentynie i gen. Franco w Hiszpanii. Poglądy mniejszości anglosaskich mogą być chwilami nawet przychylne dla obu dyktatorów, jednak większość opinii i wynikająca z nich polityka rządów jest raczej nieprzyjazna.

Refleksy tych wydarzeń i opinii wśród polskiej emigracji powinny być zdawałoby się pouczające. Tymczasem w niektórych kołach polskich, z sanacyjnymi na czele, wierzy się a nawet mówi, że każdy przeciwnik komunizmu powinien być drogi sercu Anglo-Amerykanów w obecnej sytuacji. Jest to typowe myślenie po linii własnych pragnień a wbrew rzeczywistości.

Poglądy społeczeństw atlantyckich są w tych sprawach od dawna ugruntowane, mają pewną tradycję i są, oczywiście, oparte o ich własne wewnętrzne doświadczenia. Społeczeństwa te uważają za cywilizowany rząd taki, który trzyma się prawa, który może być zmieniony i zastąpiony w drodze wyborów przez opozycję. Źródło władzy widzą w obywatelach państwa a kształtowanie jej prowadzi ich zdaniem przez parlament do zależnego od parlamentu rządu. To nazywają demokracją i innej, na razie, nie chcą znać. Wszystkie rządy odchylające się w kierunku dyktatury traktują jako niewłaściwe i nie szanują społeczeństw, w których mogą się one pojawić.

Powstaje zagadnienie, jak daleko mogą posunąć się rządy Stanów Zjednoczonych i sprzymierzeńców w zwalczaniu tendencji dyktatorskich wśród mniejszych państw bloku zachodniego. Odpowiedź może okazać się zastanawiająca. Wygląda na to, że zaostrzający się kryzys stosunków z komunistami może takie interwencje w sprawy wewnętrzne niektórych sprzymierzonych posunąć dość daleko. Bowiem zagadnienie postawione przez min. Edena wygląda w rzeczywistości na twierdzenie: nie można zwalczać Lucypera Belzebubem.

Sprawa jest warta obserwacji i bez uciekania się do przepowiedni, nasuwa się twierdzenie, że może ona być decydująca dla oceny amerykańskiej koncepcji świata na wypadek uzyskania przewagi nad Sowietami.

Stefan Łochtin

PRZEGLĄD WYDAWNICTW

MECHANIZM USTROJÓW DEMOKRATYCZNYCH

Studium polityczne Stronnictwa Narodowego. Zeszyt drugi. Leon Kownacki: DEMOKRATYCZNE USTROJE PAŃSTWOWE. Londyn, 1952. Nakładem Stronnictwa Narodowego. Stron 34.

Przed kilku tygodniami omawialiśmy na tym miejscu pierwszą z broszur Studium politycznego Stronnictwa Narodowego. Dotyczyła ona pojęcia narodu. Druga z tego cyklu broszura jest zwięzłym wykładem istoty i odmian ustroju politycznego nowoczesnego państwa demokratycznego.

P. Leon Kownacki posiada, jak wynika z jego wykładu, solidne wykształcenie prawnicze. Zachowując prawniczą jasność i precyzyjność myślenia nie bawi się jednak w spekulacje czysto jurystyczne, lecz ujmuje zagadnienia politycznie. Istotnie bowiem nie ma dziedziny prawa tak trudnej do uchwycenia formułami, tak zależnej od żywych ludzi i od zmiennych nieraz potrzeb społeczności, jak prawo konstytucyjne. Największą też sztuką budowniczych prawa państwowego jest nadać mu trwałość zasad a elastyczność form.

Polska myśl prawnicza rozwijała się do czasu ostatniej wojny pod przemożnym wpływem myśli francuskiej i niemieckiej. Obecnie duża ilość Polaków po raz pierwszy nasiąka atmosferą kraju o zupełnie innym stosunku do prawa w ogóle a do prawa konstytucyjnego w szczególności. Może to mieć pewien wpływ na przyszły rozwój form prawno - państwowych polskich. Konstytucję angielską można zmienić w każdej chwili nawet nie ustawą ale po prostu zmianą obyczaju; zarazem jednak nie można w żaden sposób zmie-

nić od razu jej zasadniczych podstaw. Główne filary tej konstytucji (po polsku raczej w tym wypadku należałoby mówić: ustroju, nie konstytucji, ponieważ w naszym języku konstytucja oznacza ustawę zasadniczą, a dla Anglika constitution znaczy całość ustroju, złożonego zarówno z różnych ustaw jak i obyczajów) obowiązują od średniowiecza, jak Magna Charta czy Habeas Corpus, ale nie ma roku, by coś się nie zmieniło w niej niepostrzeżenie.

Mało urządzeń ludzkich było tak naśladowanych jak ustroje polityczne ale równocześnie nie ma chyba urządzenia tak trudnego do naśladowania jak ustrój polityczny. Ta sama konstytucja przeniesiona w inne społeczeństwo staje się czymś zupełnie innym, inna treść postępowania ludzkiego wypełnia ramy artykułów ustawy.

Dlatego właśnie tak istotną i ważną jest rzeczą wydobycie i uwypuklenie tego, co stanowi istotę ustroju od zmiennych urządzeń i werbalnych deklaracji.

P. L. Kownacki koncentruje uwagę na elementach zasadniczych i trwałych, wchodząc nawet w szczegóły urządzeń podstawowych a pomijając wszelką retorykę i rozważania pseudonaukowe, w których tak lubują się prawnicy niemieccy.

Ogranicza się on do omówienia czterech podstawowych zasad wspólnych ustrojom demokratycznym z punktu widzenia prawnego, a mianowicie zasadzie suwerenności narodu, zasadzie reprezentacji, zasadzie podziału władz i zasadzie wyższości norm konstytucyjnych nad ustawami zwykłymi. Na zakończenie podaje rozdział poświęcony „procesowi wyborczemu". Przy każdej z tych zasad podaje najistotniejsze różnice między ustrojami amerykańskim, brytyjskim, francuskim, szwajcarskim i konstytucjami polskimi. Unika własnych spekulacji, podaje fakty obiektywnie, jasno i zwięźle, w wyborze faktów natomiast wykazuje niezwykłą dojrzałość myśli. Cytuje przykłady kilkudziesięciu ustaw konstytucyjnych, lecz nigdzie przykłady nie tworzą balastu dla słuchacza czy czytelnika.

W sumie dla człowieka pragnącego zorientować się w zagadnieniu ustrojów demokratycznych broszura „Demokratyczne ustroje państwowe" może być bezcennym przewodnikiem. „Zadaniem wykładów niniejszych — mówi autor w zakończeniu — było przedstawienie mechanizmu ustrojów demokratycznych, z konieczności uproszczone i fragmentaryczne. Chodziło o to, aby słuchacz nauczył się rozróżniać podstawowe człony tego mechanizmu, poznał jego istotę i technikę sił nadających mu życie."

Streszczenia wykładów Studium politycznego SN zapowiadaia się na sporą biblioteczkę. W ciągu bez mała dwóch lat wygłoszono na Studium wykłady na kilkadziesiąt tematów. Należy przeto życzyć sobie, by broszury Studium mogły w przyszłości wychodzić w krótszych odstępach czasu.

w.

SPRAWA INWAZJI OD BAŁKANÓW

Chester V. Easum: HALF-CENTURY OF CONFLICT. Harper & Brothers. Nowy Jork, 1952. Stron 929.

Notowaliśmy już na tym miejscu ekspansywność amerykańskiej produkcji naukowej, przypominającej pod pewnymi względami dawne wzory niemieckie. Nauka i publicystyka polityczna, gospodarcza itp. amerykańska zarzuca rynek czytelniczy ogromnymi tomiskami (przypomnijmy choćby pamiętniki Cordella Hulla i Stimsona z ostatnich lat). Ilość nie zawsze idzie w parze z jakością. Książki amerykańskie nie tchną wprawdzie taką pedanterią, jak wiele książek niemieckich, jednak nie grzeszą zwięzłością, widać, że nie potrzebują się liczyć z miejscem względnie z rozmiarami i stąd powstaje skłonność do wielomówności.

Otóż książce prof. Easuma z uniwersytetu Wisconsin, niewątpliwie na dobre wyszłoby, gdyby była krótsza. Na tysiącu blisko stronic daje on szeroką panoramę wydarzeń historycznych pierwszej połowy XX wieku, skupiając najwięcej uwagi (jak wynika z tytułu) na zatargach międzynarodowych z dwiema wojnami światowymi włącznie.

Dzieło historyka amerykańskiego nie odznacza się szczególnymi zaletami. Pisane stylem spokojnym i dość nudnym, nie zawiera materiału rewelacyjnego. Zestawia pracowicie i dość sumiennie fakty mieszczące się w ramach tematu, ale nie tyle oświetla i ocenia zmieniające się sytuacje, co je referuje.

Jeśli chodzi o drugą wojnę światową, nasuwa się tu porównanie z książką innego Chestera — Wilmota, która wywołała tyle komentarzy w prasie codziennej i czasopismach. Książka Wilmota pisana jest bez porównania żywiej i z większym talentem, problemy wyłaniające się w toku wojny i po jej zakończeniu stawia znacznie bardziej dramatycznie.

Jedna teza książki Wilmota, która wywołała najwięcej bodaj uwag pro i contra, to sprawa odmiennej jakoby w czasie wojny koncepcji strategiczno-politycznej Stanów Zjednoczonych, albo raczej Roosevelta i Wielkiej Brytanii z Churchillem na czele.

Wilmot mianowicie raczej sugerował niż udokumentował tezę, że Churchill pragnął czy zmierzał do zaszachowania ekspansji sowieckiej na terenie Europy środkowej, a zwłaszcza południowo-wschodniej (Bałkany) przez skierowanie ataku na, jak to sam Churchill obrazowo określił, podbrzusze Europy, tj. Włochy i Bałkany. Konsekwencje polityczne takiego posunięcia byłyby oczywiste. Krytycy Wilmota twierdzili, że z wynurzeń samego Churchilla, a zwłaszcza jego pamiętników bynajmniej istnienie takiego zamiaru nie wynika, że jakąś niewielką akcję na Bałkanach Churchill miał traktować tylko w charakterze dywersji celem niepokojenia Niemców, a bynajmniej nie z zamiarem stwarzania trudności Rosjanom.

Otóż Easum sprawę tę oświetla — tylko może jeszcze wyraźniej i mocniej — jak Wilmot. Rozróżnia on między bezpośrednim i dalszym celem wojny. Pierwszym było zniszczenie

złowrogich sił, które wywołały wojnę, tj. hitleryzmu. Ostatecznym celem było osiągnięcie i utrzymanie „przyzwoitego“ pokoju. Autor niedwuznacznie stwierdza, że samo wygranie wojny byłoby niewystarczające. Poza celami czysto wojskowymi należało uwzględniać i cele polityczne.

Na kanwie tych generalnych rozważań Easum pisze: „P. Churchill wypowiadał się na rzecz Bałkanów (jako terenu inwazji), tak by Europa południowo-wschodnia została „oswobodzona“ (nie bardzo tu zrozumiałe są te cudzysłowy) i okupowana na końcu wojny — nie przez Armię Czerwoną, lecz przez wojska Stanów Zjednoczonych i Wielkiej Brytanii. Taka strategia zrobiłaby z inwazji Europy kampanię nie tylko na rzecz zwycięstwa wojskowego nad Niemcami, lecz zmierzającą do zajęcia pozycji geograficznej po wojnie w stosunku do alianta brytyjskiego — Rosji. Byłoby to oznaczało stawianie zamierzeń politycznych na pierwszym miejscu w planowaniu przedsięwzięcia wojskowego“. I dalej pisze, że jeśli chodzi o sprawę wyboru kierunku i miejsca inwazji przez Roosevelta, przyjął i podtrzymywał poglądy swych doradców, przy czym wymienia Stimsona, Marshalla i Eisenhowera, którzy, jak wiadomo, wypowiedzieli się na rzecz inwazji Francji.

Z tego przedstawienia wynikałoby, że jednak istniała wyraźna rozbieżność w koncepcjach: długofalowej Churchilla i krótkofalowej, by nie powiedzieć krótkowzrocznej, Roosevelta i jego doradców.

Na marginesie wyników konferencji w Jałcie autor zadowala się stwierdzeniem, iż „najbardziej odpowiedzialni doradcy (prez. Roosevelta) zaświadczyli, że jakkolwiek był on zmęczony ciężarem urzędu i nadzwyczajnymi wysiłkami w związku z konferencją, to jednak znajdował się w pełnym posiadaniu swych zdolności i uzyskał więcej koncesji niż sam ich przyznał“. Nie trudno domyślić się, że opinia ta oparta jest głównie na książce zmarłego przed paru laty b. sekretarza stanu z okresu jałtańskiego Stettiniusa i jego następcy Byrnesa. Jednak opinia „najbardziej odpowiedzialnych doradców“ prezydenta nie jest równoznaczna z osądem historii, który zwolna i coraz wyraźniej się krystalizuje bynajmniej nie po myśli tamtych opinii.

MADARIAGA - SZERMIERZ POŁĄCZONEJ EUROPY

Salvador de Madariaga: PORTRAIT OF EUROPE. Hollis and Carter. Londyn, 1952. Stron 204.

Madariaga przypomina trochę ludzi renesansowych wszechstronnością swych zainteresowań, uzdolnień i dokonań. Jest uczonym, politykiem, estetą, znakomitym mówcą i świetnym pisarzem. Jego książki czyta się z niesłabnącym zainteresowaniem Pisane są lekko, finezyjnie, z dowcipem. Prawdziwie latyński umysł, pełen polotu, jasności i wdzięku, jeśli tak można powiedzieć.

Ten Hiszpan, przebywający na dobrowolnym wygnaniu od lat (w Oxfordzie), ten liberał w najlepszym znaczeniu słowa, stanął obecnie w pierwszym szeregu szermierzy idei połączonej Europy. W wydanej ostatnio swej książce posiadającej wszystkie cechy poprzednich jego publikacji, autor pokusił się o ukazanie Europy jako jedności przy wszystkich często jakżeż wyraźnie zaznaczonych odrębnościach, składających się na nią narodów. Książka nie nadaje się do streszczania, najwyżej można ją ogólnie scharakteryzować.

W sposób subtelny Madariaga stara się niekiedy na drodze filozoficznej, częściej poprzez narodową twórczość literacką dotrzeć do najgłębszych podstaw charakterów narodowych oraz do napięć, istniejących w stosunkach między poszczególnymi narodami Europy. Dostrzega on jednak i wiele podobieństw, cech wspólnych, łączących pewne grupy rodziny europejskiej. Takie podobieństwo dostrzega m. i. między Hiszpanami, Irlandczykami i Polakami, podobieństwo pewnej absurdalności w postawie wobec świata i rzeczywistości.

Jest rzeczą naturalną, że Madariaga czerpie szczególnie pełną dłonią ze skarbca tradycji politycznych i kulturalnych Hiszpanii. Nie ustrzegł się przy tym pewnej przesady. Z czterech utworów, które najsilniej, jego zdaniem, zaciążyły na świadomości współczesnej ludzkości, aż dwa są autorstwa hiszpańskiego (Donkiszot i Don Juan). Można by się sprzeczać z autorem i z innych powodów.

A jednak książka daje wiele estetycznego zadowolenia. Smakuje jak owoc przedni, jak wino stare i szlachetne. Do zjednoczonej Europy trzeba się zbliżać jako do pojęcia czegoś, co wyróżnia się jakością, wartością, co godne jest zachowania. Madariaga wskazuje tę drogę w sposób odpowiadający znakomicie temu celowi.

(m. ost.)

Z ŻYCIA SPOŁECZNEGO

ZEBRANIA PUBLICZNE STRONNICTWA NARODOWEGO

W Birminghamie, 8 czerwca odbyło się w sali YMCA zebranie urządzone staraniem Koła Stronnictwa Narodowego. Przybyły z Londynu mec. E. Sojka przemawiał na temat „Obecne położenie polityczne kraju“. Przewodniczył p. J. Macieliński. Obecnych na sali około 100 osób.

★

W Huddersfieldzie 7 czerwca, a w Bradfordzie i Leeds 8 czerwca wygłosił referaty pt. „Odtworzenie Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie na wypadek konfliktu wojennego“, przybyły z Londynu p. W. Kański. Zebrania zorganizowane zostały przez koła Stronnictwa Narodowego. Przewodniczyli w Huddersfieldzie p. L. Kowalski, w Bradfordzie p. Z. Karney, w Leeds p. W. Sielicki. W zebraniach wzięło łącznie udział kilkaset osób.

★

W Oldham, 7 czerwca w sali Lancashire Hotel Koło Stronnictwa Narodowego urządziło zebranie z odczytem dr S. Kodzia z Londynu pt. „Zimna wojna między Wschodem a Zachodem“. Przewodniczył p. A. Łobodziński. Obecnych kilkadziesiąt osób.

★

W Manchesterze, 8 czerwca w sali Domu Kombatanta dr Kodź wygłosił odczyt pt. „Siedem lat okupacji komunistycznej w Polsce“. Zebraniu urządzonemu przez Koło Stronnictwa Narodowego przewodniczył p. Łobodziński. Obecnych przeszło 70 osób.

ZJAZD ODDZIAŁU SPK WIELKA BRYTANIA

VI zjazd największej organizacji polskiej w Wielkiej Brytanii — Stowarzyszenia Polskich Kombatantów powziął m. i. uchwałę w sprawie granicy zachodniej z Niemcami, stwierdzającą, że cały naród polski tak w kraju jak i na emigracji stoi niewzruszenie przy granicy Odra—Nysa.

Prezesem nowego zarządu wybrano po raz pierwszy narodowca, J. Płazaka. Wiceprezesami zostali: nidowiec M. Przedrzymirski i piłsudczyk S. Lis. Do zarządu wszedł także socjalista T. Jurowski.

Na uroczystym otwarciu przemawiali kolejno: gen. R. Odzierzyński, gen. W. Anders, prezes Rady Politycznej T. Arciszewski, prof. B. Hełczyński imieniem Światowego Związku Polaków z Zagranicy i mec. W. Dunin-Borkowski, prezes Zjednoczenia Polskiego w Wielkiej Brytanii.

(NBI)

LISTY DO REDAKCJI

LIST I ODPOWIEDŹ

Wielce Szanowny
Panie Redaktorze,

W związku z artykułem p. W. Wasiutyńskiego pt. „Fizyk Jego Świątobliwości“, ogłoszonym w nrze 199 z dnia 1 maja 1952 „Myśli Polskiej“, przypuszczam, że jedynie przez przeoczenie, zakradły się pewne nieścisłości, które w imię prawdy należałoby skorygować:

1. Sir Edmund Taylor Whittaker, F. R. S., M. A., D. Sc., L. L. D., był profesorem matematyki Uniwersytetu Edynburskiego, a nie fizyki, jak podaje autor; 2. Filozofia nigdy nie była i za naszych czasów nie staje się częścią fizyki, jak to podaje autor, lecz fizyka jest nadal przedmiotem badań filozofii a szczególnie jej działu zwanego epistemologią; 3. Fizyka nie jest ściśle związana z filozofią panującą w danej epoce, jak to podaje autor, lecz filozofia w każdej epoce musi brać pod uwagę współczesny stan fizyki. Na potwierdzenie tego można by przytoczyć wypowiedź sławnego fizyka Chwolsona do sławnego filozofa Hegla, gdy między nimi zaszła różnica poglądów na ten temat: „Czy wiesz jakie jest jedenaste przykazanie Boskie — nie zabieraj głosu w sprawach, na których się nie znasz“.

Wracając do Whittakera, to pomijając jego olbrzymie zdolności wrodzone, trzeba brać pod uwagę również szerokie wykształcenie ogólne — mgr filozofii (ścisłej), dr filozofii (matematyki), dr praw. Taki zakres wykształcenia upoważnia go do zabierania autorytatywnie głosu na tematy ogólne. Nic więc dziwnego, że został on powołany na członka Pontyfikalnej Akademii Nauk, a jego wypowiedzi są dla Papieża w dziedzinie nauk ścisłych miarodajne.

Zechce Pan przyjąć, Panie Redaktorze, wyrazy mego prawdziwego poważania.

A. W. Gac

★

Jak każdy czytelnik niewątpliwie sam zauważył, skorygowaniem nieścisłości może być tylko pierwszy punkt listu, a mianowicie informacja, że prof. Whittaker wykładał w Edynburgu nie fizykę matematyczną lecz matematykę. Pozostałe punkty są polemiką merytoryczną ubraną w bardzo arbitralną a czasami niezupełnie nawet grzeczną formę.

Fizyka nie tylko jest ściśle związana z filozofią panującą w danej epoce, ale nawet stanowiła do niedawna część filozofii. Przykładów nie trzeba szukać w starożytności: jeszcze nasi ojcowie, a nawet starsi bracia studiowali fizykę na wydziale filozoficznym uniwersytetu. Prof. Whittaker w omawianej broszurze opisuje walkę toczoną przez tomistów z fizyką nowoczesną. Nie jest przypadkiem, że fizyka ta rozwinęła się w krajach protestanckich poza zasięgiem filozofii scholastycznej.

Filozofia współczesna oczywiście nie staje się formalnie częścią fizyki, choć coraz więcej ludzi poznaje filozofię na wydziałach matematyczno-przyrodniczych. Skrót myślowy: „filozofia staje się częścią fizyki“ wyjaśniają poprzednie ustępy felietonu: „dotąd... filozofowie wpływali na fizyków. Teraz jest odwrotnie: teraz fizycy zaczynają tworzyć pojęcia filozoficzne, czy też, wobec braku dostatecznie przekonywającej filozofii, zaczynają sami tworzyć jej namiastkę... Tę rolę, jaką w dawnych wiekach grali filozofowie, w naszej grają fizycy... O kosmologii i metafizyce, to jest o tym, co najbardziej ludzi w filozofii obchodzi, czego od niej oczekują, co ma największy wpływ na kierunek cywilizacji, mówią sami...“ i jeszcze: „Myślący człowiek współczesny może nic nie wiedzieć o dziełach... filozofów współczesnych ... ale nie może nie starać się dowiedzieć o takiej filozofii, jaką wykładają fizycy: o ich poglądach na istotę życia, budowę świata, jego źródło i cel“.

Trudno także bez zastrzeżeń przyjąć twierdzenie, że przedmiotem epistemologii jest fizyka. Epistemologia, to teoria poznania.

Wojciech Wasiutyński

OD ADMINISTRACJI

Administracja „Myśli Polskiej“ podaje do wiadomości zainteresowanych, że przedstawicielstwo naszego pisma na Belgię objęła p. Irena Piechowiczówna, 147, Av. Brugmann, Bruxelles.

„MYŚL POLSKA“
założona w 1941 r. w Londynie, ukazuje się dwa razy w miesiącu. Redakcja i administracja: 8, Alma Terrace, Allen St., London, W. 8. Tel. WEStern 1797. Prenumerata półroczna 18 s lub 3 dol., roczna £ 1.16.0 lub 6 dol.

Printed for „Myśl Polska“ by Gryf Printers (H. C.) Ltd., 171, Battersea Church Road, London, S. W. 11, tel. BAT 0879. 1 July 1952